



## Mirosław Derecki (M.D.)

### HISTORIA PEWNEJ PRZESYŁKI

Gdyby holenderski robotnik Harmen Huisman nie zainteresował się trzydzieści lat temu zbiegowiskiem na moście w swoim rodzinnym mieście Sneek we Fryzji, życie jego nie wyszłoby prawdopodobnie poza ramy zwykłej codzienności. Jeden krok w stronę, współziomków otaczających żołnierza w zniechęconym mundurze koloru feldgrau spowodował łańcuch następstw, uwieńczonych u schyłku życia odkryciem nieznanego, nadbałtyckiego kraju, który nazywa się Polska. Przede wszystkim zaś danym mu było poznać smak prawdziwej przyjaźni, nie liczącej się ani z upływem czasu, ani z granicami zakreślonymi przez polityków.

Huisman ma dzisiaj ponad siedemdziesiąt lat. Zaczynał prace jeszcze przed pierwszą wojną światową, jako goniec w magazynie mebli. Później był górnikiem, robotnikiem portowym, budowlanym, wreszcie pracownikiem gminnym. Dopiero po przejściu na emeryturę wyruszył wraz z żoną w pierwszą w życiu podróż zagraniczną, na „awanturniczą wyprawę” - jak to określa - do Polski. Swoje wrażenia spisał w obszernym wspomnieniu, które jest dla nas tym ciekawsze, że czytając je, nie tylko oglądamy Polskę oczyma zwykłego człowieka z holenderskiej prowincji, ale zarazem możemy prześledzić, jak nasz podróżnik konfrontuje swoje wiadomości o kraju socjalistycznym wyniesione z Holandii z tym, co sam zobaczył w Polsce. Na załączonym do wspomnienia zdjęciu widzimy Huismana na moście w Sneek, od którego zaczęła się jego największa w życiu przygoda. Po dziś dzień zresztą pełni Huisman funkcję pomocnika strażnika owego mostu.

„W latach wojny byłem dozorcą mostu „Leeuwerder brug” w miejscowości Sneek. Na moście tym stał jak kamienny posąg niemiecki wartownik. Nikt z mieszkańców miasteczka nawet nie spojrzał na niego. Pewnego razu ten wartownik-posąg znikł. Żołnierza, który zajął jego miejsce, otaczała liczna grupa ludzi. Chciałem się dowiedzieć, o co tam chodziło. Okazało się, że wartownik jest jednym z Polaków, których Niemcy siłą wcielili do Wehrmachtu. Pod niemieckim mundurem było więc buntownicze, gorące, polskie serce. Chętnie opowiadał nam, jak Niemcy postępują w Polsce – palą, mordują, rabują i torturują ludzi, uprowadzają młodych chłopców i dziewczęta. Poruszony tą opowieścią, zaprosiłem go

i jego kolegę, również Polaka, do mojego domu na kawę. Kiedy przechodziliśmy przez miasto, na ich twarzach widać było wzruszenie”.

Jeden z Polaków nazywał się Benedykt Jarzyński. Szybko zaprzyjaźnił się z Huismanem, a po kilku dniach zwierzył mu się, że wraz z innymi rodakami z tutejszego garnizonu planują ucieczkę i prosił o pomoc.

Wkrótce po mieście rozeszła się wiadomość, że niemieccy żandarmi z psami poszukują dziewięciu zbiegłych z Wehrmachtu Polaków. Miedzy innymi poszukiwano również Jarzyńskiego, którego ukrywał w swoim domu Huisman. W sprawę niesienia pomocy uciekinierom było zresztą zaangażowanych wielu mieszkańców Sneek.

„Jeden z moich znajomych przyszedł do nas i oświadczył Jarzyńskiemu, że musi bezwzględnie stosować się do wszystkich naszych wskazówek, bo inaczej zarówno on jak i my możemy wpaść w ręce Niemców. Wkrótce dowiedziałem się z poufnych źródeł, że przyjaciel Jarzyńskiego, Kazimierz Muller, nie zdążył się ukryć w porę, został schwytany i poddany torturom, aby zdradził miejsce ukrycia kolegi, a wreszcie rozstrzelany. Okazało się jednak po latach, że Kazimierz wytrzymał tortury; nie rozstrzelano go, lecz wysłano na front i ostatecznie wojnę przeżył”.

Jarzyński doczekał w ukrycia do końca okupacji, wrócił do Polski i wkrótce Huisman otrzymał od niego dwa listy. Później jednak kontakt urwał się i z upływem czasu cała historia zaczęła pokrywać się w Sneek mgłą zapomnienia. Upłynęło niemal osiemnaście lat, gdy w domu Huismanów pojawił się listonosz z listem z Polski. Był rok 1963. Nadawcą był Kazimierz Muller.

„Jak czuliśmy się w tym momencie, nie potrafię tego opisać. List zaadresowany był następująco: „Pan Huisman - poczta Groning albo poczta Leeuwarden, albo poczta Sneek - ulica Wasserstrasse”. Pewien nauczyciel przetłumaczył nam ten list, odpisaliśmy Kazimierzowi i wkrótce już prowadziliśmy ożywioną korespondencję. Pewnego razu napisał: „Nie moglibyście nas odwiedzić w Polsce?” W chwilą później odpisywałem mu: „Przyjeżdżamy”.

I tak oto zaczyna się pierwsza „awanturyczna wyprawa” państwa Huismanów do nieznanej Polski, wyprawa podejmowana z uczuciem niemałej emocji, i ze względu na odległość, i wiek obojga małżonków, i ciekawość jak to jest w tym „komunistycznym” kraju. Huisman skrzętnie notuje wszystkie spostrzeżenia, a trzeba przyznać, że jest inteligentnym obserwatorem. Swoją drogą zabawne, jak styl owych notatek przypomina chwilami dziewiętnastowieczne diariusze podróżników, udających się z Londynu lub Paryża gdzieś na Syberię albo na Daleki Wschód...

„W końcu lipca 1965 r. wybraliśmy się do Polski. Do Poznania zajechaliśmy bez specjalnych tarapatów. Zaczęły się one dopiero później. W Poznaniu wsiedliśmy do innego

niż należy pociągu, i musieliśmy trzykrotnie przesiadać się, aby dojechać do Połczyna Zdroju, gdzie mieszkał Muller. Ale pod koniec dnia zacząłem sobie zdawać sprawę, że na miejsce dzisiaj chyba nie dojedziemy. W miejscowości Grzmiąca poszliśmy do naczelnika stacji z pytaniem, co robić, bo żaden pociąg już do Połczyna nie odchodził. Naczelnik dał nam dwadzieścia złotych na kolację - nie zdążyliśmy wymienić pieniędzy - i doradził: „Prześpijcie się w wagonie stojącym na boczniczy, a rano pojedziecie dalej”. Tylko zdążyliśmy wsiąść do przedziału, kiedy wszedł jakiś konduktor pytając, czy jesteśmy Holendrami i gdzie chcemy jechać. Powiedziałem, że do Połczyna Zdroju. A kogo macie znajomego w Połczyniu, bo ja tam właśnie mieszkam?” Odrzekłem, że jedziemy do Kazimierza Mullera. Popatrzył na mnie zdziwiony: „A to macie pecha, bo on właśnie przeprowadził się do Barzkowic”. Zaraz jednak pocieszył nas mówiąc, że do Barzkowic blisko i sam nas tam odwiezie.

W niedzielę rano (godzina szósta) zobaczyliśmy coś, co wydawało się nam nieco osobliwe. Kilkunastu mężczyzn w roboczych ubraniach piło jedną butelkę piwa za drugą. Przy każdej kolejnej butelce podawali sobie ręce i wznosili toast. Kiedy o godzinie dziewiątej wychodziliśmy ze stacji, „uroczystość” jeszcze trwała...”

Wreszcie Huismanowie dotarli do Barzkowic, gdzie Muller pracował w Rolniczym Rejonowym Zakładzie Doświadczalnym.

„Tak oto przyjechaliliśmy do tego wielkiego gospodarstwa rolnego o powierzchni 3 tys. ha. Przy drodze wielki pałac, w którym mieszkali niegdyś właściciele majątku. Dookoła wspaniałe ogrody. Muller wychodzi na nasze spotkanie. Powitanie jest bardzo serdeczne. Przyjęcie i świąteczny nastrój przeciąga się aż do wieczora.

W Barzkowicach w skromnych domkach mieszka osiemdziesiąt rodzin. We wsi jest jeden kościół i jeden mały sklepik. Dzieci chodzą do szkoły do sąsiedniej wioski. Pomimo niewątpliwych niedostatków, w których muszą żyć, są to wspaniali ludzie. Nigdzie nie spotkaliśmy tego „przygnębienia i zniechęcenia”, o których tak często pisze się i mówi u nas w Holandii. Na przykładzie tego gospodarstwa muszę stwierdzić, że właśnie ci ludzie, żyjący wśród mniejszych wygod niż my - są szczęśliwsi od nas. To, że ludzie żyją tutaj ciągle jeszcze stosunkowo skromnie, nie jest rzeczą dziwną. Należy pamiętać o dwóch wojnach światowych, szczególnie o ostatniej, podczas której cały kraj został doszczętnie zrujnowany.

Nasz przyjaciel, Kazimierz Muller, skończył po wojnie szkołę rolniczą i w Barzkowicach pracuje jako agronom. Poznaliśmy też tutaj panią Ligeman, która chętnie ofiarowała się, jako tłumaczka”.

Relację z pobytu w Barzkowicach Huisman kończy zdaniem: „Spędziliśmy dwa tygodnie wspaniałych wakacji”.

Podczas pobytu w Polsce Huismanów stale dręczyła myśl, aby odszukać Jarzyńskiego, po którym wszelki słuch zaginął. Szukał go od dawna i Muller, ale bez rezultatu. Po powrocie

do Holandii Huisman prowadził nadal poszukiwania za pośrednictwem organizacji „Stichting 1940-1945”, skupiającej byłych członków ruchu oporu w Holandii. Dopiero sekretarka Holenderskiego Czerwonego Krzyża, p. Geritsman, zdołała ustalić miejsce pobytu Jarzyńskiego. Okazało się, że mieszka on w Gdyni.

„Nasza radość nie miała granic - notuje Huisman - Jarzyński to naprawdę wspaniały i szlachetny człowiek. Teraz już bez przeszkód nawiązaliśmy kontakt listowny, a w 1968 r., tym razem na zaproszenie Benedykta Jarzyńskiego, wyruszyliśmy po raz drugi do Polski. W Poznaniu spotkaliśmy naszego starego znajomego, konduktora z Połczyna Zdroju, wraz z dwiema córkami, która nam wręczyła kwiaty. Oświadczył, że bezapelacyjnie musimy najpierw jechać z nim do Połczyna.

Przez cały czas pobytu w domu konduktora odnosił człowiek wrażenie, że bezustannie odbywa się tam wesele. Piliśmy wódkę w małych kieliszkach, popijając wodą mineralną. Wódkę pije się jednym haustem. Goście stukają się kieliszkami i wznoszą toasty. Nie widziałem, żeby się ktoś przy tym upił. Zwiedzając miasto byłem zdumiony, jak się ono w ciągu trzech lat zmieniło i wyładniało. W 1965 roku Połczyn Zdrój wyglądał tak, jak gdyby przez tysiąc lat nic się tam nie działo. Teraz to naprawdę piękne miasto. Wspaniały park, sanatoria.

Z Połczyna wyruszyliśmy wreszcie do Gdyni. Musieliśmy jednak przyrzec, że bezwarunkowo tu jeszcze wrócimy. Przyrzekliśmy tym chętniej, że już od dawna byliśmy zaproszeni do odwiedzenia Barzkowic przez tamtejszego dyrektora. Muller już w Barzkowicach nie mieszkał, przeniósł się do Łobeza.

Tego samego dnia, o godz. 23, zajechaliśmy do Gdyni. Na dworcu zwróciłem natychmiast uwagę na człowieka stojącego przy okienku kasowym. Powiedziałem do żony: „To chyba jest Benedykt...” „Niemożliwe - odparła. - Zbyt młodo wygląda”. Nie byłem pewien, bo ostatni raz widzieliśmy się 23 lata temu. Podszedłem jednak do okienka, stanąłem za plecami mężczyzny i zawołałem: „Benedykt!” Obejrzał się jakby przestraszony i krzyknął: „Huisman!” Nie posiadał się z radości. To było naprawdę wielkie wydarzenie. Po 23 latach móc znowu powitać swoich „przybranych rodziców” z czasów okupacji i ukrywania się.

Kolacja w domu Benedykta była bardzo obfita i jak dla nas, to trochę za bardzo królewska. Oczywiście z wódką, która widocznie dla Polaków jest czymś nieodzownym. Kiedy o trzeciej zaczynało świtać, zapytałem, czy jeszcze pójdziemy spać?

Do środy, 10 lipca, byliśmy w Gdyni. Tyle niezapomnianych przeżyć, że nie sposób wszystkiego dokładnie opisać. Ulice są tu bardzo czyste, szerokie, widać wiele kwiatów. Dużo pomników i pamiątek z czasów wojny. Port gdyński został po wojnie odbudowany, a Polska odzyskała obszary zagarnięte przez Niemców. W tym krótkim okresie czasu staraliśmy się wykorzystać każdą chwilę, aby zwiedzić miasto, port, zobaczyć zawijające i

odpływające statki. Na obiady chodziliśmy do restauracji, aby naszym gospodarzom nie sprawiać kłopotu. Za każdym razem musieliśmy szukać wolnego miejsca, gdyż w restauracjach zawsze pełno ludzi. Tej „biedy”, o której tak często pisze się w naszych gazetach - wiedzieliśmy bardzo mało. Człowiek odnosi wrażenie, że panuje tu dobrobyt. Ludzie są dobrze ubrani, sklepy i kawiarnie przepełnione. Tramwaje, autobusy i pociągi zawsze pełne pasażerów. Zwiedzaliśmy też Gdańsk i Westerplatte.

10 lipca Jarzyńscy zorganizowali pożegnalny wieczór, na który przyszło wielu ich znajomych. Wydawało się, że w czasie takich spotkań w niczym nie przeszkadzają trudności językowe. Piliśmy trochę i śpiewali bardzo ładne polskie piosenki. Następnego dnia rano razem z Benedyktem wyjechaliśmy do Połczyna Zdroju i do Barzkowic.

Dyrektor gospodarstwa w Barzkowicach przywitał nas bardzo serdecznie. Wkrótce i pani Ligeman siedziała razem z nami. Teraz już dwoje tłumaczy biedziło się z moją łamaną niemczyzną. Często zastanawiałem się, czemu ja, jako cudzoziemiec, zawdzięczać mam takie serdecznie przyjęcie.

Z Fryzji przywiozłem ze sobą mały upominek - talerz, który można powiesić na ścianie, z napisem: „’t is de boer allike folle, as de kou skyt as de bolle” - „chłopu jest obojętne czy sra krowa, czy byk”. Wręczyłem talerz dyrektorowi i poprosiłem Jarzyńskiego, żeby przetłumaczył tekst na polski, niestety nie potrafił, a może napis wydał się zbyt frywolny. Natomiast pani Ligeman przetłumaczyła chętnie. Spowodowało to w naszym towarzystwie szczerzy śmiech.

Dwa rącze konie zaprzęgnięto do wozu i wszyscy pojechaliśmy zwiedzać Barzkowice.

W porównaniu z tym, co widziałem w 1965 r., Barzkowice sprawiały zupełnie inne wrażenie. Zaledwie trzy lata upłynęły, a prawie wszystko tu odnowiono. Przede wszystkim zbudowano szkołę, w której zatrudnionych jest sześciu nauczycieli. Widzieliśmy dwa nowo otwarte sklepy. Potem zobaczyliśmy szereg pięknych nowych domków jednorodzinnych dla pracowników gospodarstwa.

Tutaj widać naprawdę odbudowę Polski. Odbudowę - w sposób, o którym ludziom może nawet nigdy się nie śniło. Przed takimi ludźmi, przed taką dyrekcją, chylę z szacunkiem głowę.

Po obejrzeniu gospodarstwa dyrektor zaprosił nas na obiad. Tam, gdzie w 1965 r. była tylko, zwykła gospoda, dzisiaj jest wspaniała restauracja. Zjedliśmy tam wszyscy razem taki obiad, że odniosłem wrażenie, jakbym był ministrem spraw zagranicznych...

Po obiedzie był najwyższy czas by ruszać w drogę. Jadąc w kierunku Stargardu zauważyłem coś, co mnie zainteresowało. Na pewnej stacji pociąg musiał czekać półtorej godziny. Zapytałem konduktora, czy stało się coś szczególnego. Powiedział, że nie - jest to

rzecz normalna i pociąg zawsze stoi tutaj tak długo. Pomyślałem sobie: jakież to marnowanie czasu i pieniędzy. W Polsce widocznie sprawa ma się inaczej.

Jeżeli miałbym streścić to wszystko, co widziałem i słyszałem, zrobiłbym to następująco: czyste ulice, ładne restauracje, sklepy pełne towaru, można kupić wszystko, co potrzebne. Restauracje i jadalnie są zawsze pełne gości. Ludzie chodzą nie gorzej ubrani niż w Holandii. Na koniec dodam jeszcze to, że przybywając do Polski, Holender ma wszędzie wstęp wolny. Jest się niesłychanie gościnnie przyjmowanym. Wiele osób od razu ofiarowywało nam różne prezenty. W większości przypadków odmawialiśmy ich przyjęcia, ale nie zawsze się to udawało.

I tak oto zakończyła się nasza „awanturyczna wyprawa” do Polski”.

Wspomnienia Harmena Huimana trafiły na moje biurko dzięki uprzejmości mgra Jerzego Wieluńskiego z Zakładu Elektroniki Obliczeniowej w Lublinie, a okoliczności, jakie do tego doprowadziły, to cała osobna historia... Kilka lat temu mgr Wieluński, uczący się włośnie języka holenderskiego, nawiązał kontakt z grupą sportowców holenderskich przybyłych na mecz do Lublina. Otrzymał od nich kilka gazet holenderskich, a wkrótce potem w jednym z tych dzienników ukazał się list p. Wieluńskiego z prośbą do czytelników o nawiązanie z nim korespondencji. Jako jeden z pierwszych odpowiedział właśnie Huisman. Nawiązała się jeszcze jedna przyjaźń między Holendrem i Polakiem. Po pewnym czasie do Lublina nadeszła przesyłka z maszynopisem, który przetłumaczył nam p. Wieluński.

Pierwodruk: „Kamena”, 1974, nr 7, s. 6, 7.